

Cena numeru 10 zł.

ROZGLI⁶

BIJĄCO TYDZIEŃ

Rok II

9 lutego 1947

Nr. 7 (27)

W ZWIĄZKU Z ROZPOCZĘCIEM SESJI SEJMU USTAWODAWCZEGO



Rvs. HENRYK TOMASZEWSKI

Program dla pana posła?

BRZY ZAJĄCZKOWSKI

NA OTWARCIU SEJMU USTAWODAWCZEGO

Nadszedł onego czasu wielki dzień lutowy,
w którym skończył swój żywot wyraz: „tymczasowy”.
„Tymczasowość”, co w czynach dawno już się starła,
na początku lutego do reszty umarła
i oddała przymiotnik — redutę ostatnią —
poddając się przed wolą i jednością bronią.

Na ten dzień zakończona była odbudowa gmachu, po którym kiedyś pan z Gołędzinowo hulał i chłopców swoich zachęcał krzykami, by śmiało posłów tłukli po głowach pałkami, jeśli by dotyczących postępu idei chcieli tykać na forum. Pomimo to śmieli poniekąd wygłaszać swe odważne tezy i wiedzy zwykle urlop brali do... Berezy.

W tym tedy gmachu, który za czasów sanacji widział najpierwsze wloty polskiej demokracji, tłumione z zawziętością i pańskim uporem kolbami karabinów i cichym terrorem, w tym tedy gmachu, mówię, w tejże samej sali, ci co byli w pierw szczuci, teraz się zebrali, nie po to, by po celach za swe myśli bić, nie po to, żeby cierpieć, lecz po to, by : z a d z i e ć

Już podwoje otwarto. Kronik nowa karta odemknięciem podwoi została otwarta.
Kronikarzu! Czyś swoje, byś mógł się z Narodem i Historią podzielić. Uważ! Idzie przodem Prezydent jako pierwszy, a tuż za nim grupka: Gomułka, Szwalbe, Janusz, Żymierski, Osóbka. Za nimi uroczyste, dotrzymując kroku, idą spolem posłowie z wszystkich stronnictw Bloku. Tuż zaraz Mikołajczyk smutny i posępny, obok Bańczyk — towarzysz jego nieodstępny...

Wchodzą wszyscy. Świec million w Jupiterach płonie. Ambasadorów orszak w łóżach na balkonie siedzi i patrzy z góry.

Niech wie zagranica jako jedność wygląda. I niech się zachwycą tym dnem. I niech posłowie swoim panującym doniosą o tym fakcie jednością tętniącym...

Wszyscy usiedli w krzesłach. Tak w sali nabitej zaczął się okres Trzeciej Rzeczywistości...

Felieton zupełnie poważny

Nie da się zaprzeczyć, że mimo niewątpliwego powodzenia, jakim się w naszym społeczeństwie cieszy taka np. intuicjonistka z Galicji Saba, magik hinduski Pari-banu czy jasnowidz Pyffello, wpływy intuicjonizmu, czarnej magii, wróżbiarstwa i tym podobnych czarów ograniczają się raczej do spraw prywatnych. In rebus publicis ich działanie okazuje się na ogół słabe.

Opinię naszą w powyższym względzie potwierdza wypadek, który miał miejsce w czasie ostatnich obrad Rady Naczelnej PSL. Oto poseł Załęski, przygadzając pono szpetnie swemu dotychczasowemu szefowi, p. Mikołajczykowi, rzucił:

— Panie prezesie, pan mnie więcej czarować nie będzie...

Równocześnie — jak mówią — wypowiedzieli swą wiarę w przepowiednię i gusta pana prezesa p. p. Wycech, Niecko, Dec, Szczawińska i inni. Przy chorągwi proroka pozostała — nomen omen — Chorągiew Apostazja „wiernych” nie wzięła się, naturalnie, ni stąd ni zowąd: źródłem jej jest przykra okoliczność, że w ostatnich wyborach pan prezes oczarował bardzo, ale to bardzo minimalną część narodu, a zatem — passez moi le mot — na psa taki urok!

Zarówno owi „rozczarowani”, jak i ci nadal „oczarowani” posłowie PSL mają przyjętą — jak wynika z doniesień prasowych — rolę t. zw. obserwatorów w dopiero co zwołanym Sejmie Ustawodawczym. Jak na posłów, jest to, trzeba przyznać, misja całkiem nowa i zadanie zgoła oryginalne. Po co w takim razie się

fatygować do Sejmu? Gazety i radio podają wystarczającą ilość komunikatów i informacji.

Z wiadomości powyższych można osądzić, że po za ową grupką „obserwatorów” cała ogromna reszta posłów zdaje sobie dokładnie sprawę ze swojej wagi jako ciała ustawodawczego i od pierwszych posiedzeń Sejmu stara się, aby robota sta-

bilizująca budowę nowej Polski, szła przysłowiowo „jak w zegarku”, bez przeszkód i wygrwania interesów partii przeciw interesowi państwowemu i narodowemu.

„Wybory” np. w Grecji przyniosły wzmoczenie teroru w stosunku do przeciwników politycznych. Zwycięska reakcja hula-

nie wlezie na Peloponezie. Jej chodzi o „władzę”, o „rząd” za wszelką, najbardziej krwawą cenę...

Blok Stronnictw Demokratycznych w Polsce natychmiast po wyborach zapowiedział szeroką amnestię dla zbieganych i sprowadzonych na manowce. Wbrew szeptanej propagandzie okazało się, że nie ma zamiaru ani chęci „odgrywać się” i „dokonywać zemsty”. Demokracji ludowej w Polsce chodzi bowiem wyłącznie o zjednoczenie narodu, o zjednoczenie narodu, o zaprzęgnięcie wszystkich do pracy w imię dobra Ojczyzny.

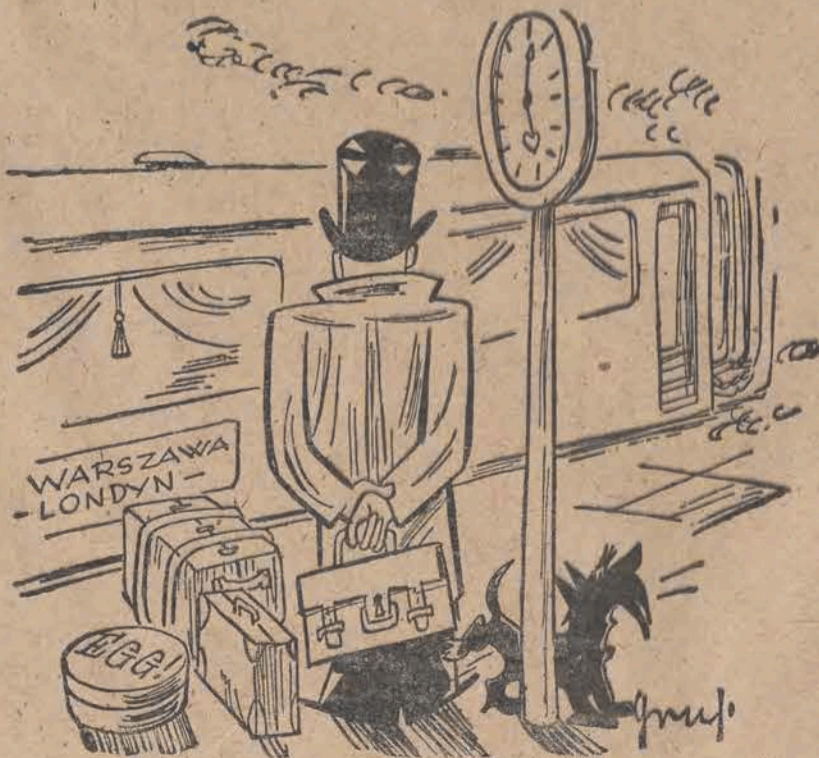
A bon entendeur salut!

Likwidacja „tymczasowości” w Polsce niewątpliwie nie pójdzie w smak różnym mącicielom naszej państwowej kadzi. Rien ne va plus, panowie! Nie będziecie się z nami bawić w Paneurope, Monachium, blok zachodni i czerwone i czarne!

Charakterystyczne, że w momencie trwałego ustalenia naszych najwyższych władz wzmacnia się działalność pupila „demokracji zachodnich”, dr. Schuhmachera. Opacznościowy ten mąż wzmógł niesłychanie swe cenne wypowiedzi, z których każda czepliła się, naturalnie, sprawy Polski i jej granic. Że nie uzna, że się nie zgodzi, że nie podpisze...

Ano, przy silnym rządzie i silnym parlamencie nie mamy się czego obawiać „czarnego luda”. Co się jako żywo okaże dowodnie przy niedalekiej konferencji państwowej w sprawie Niemiec.

W ZWIĄZKU Z ODWOŁANIEM AMBASADORA
P. CAVENDISH-BENTINCKA



Rys. Kazimierz Grus

Sik transit aloria...

Statyste

— A ja w zabobony nie wierzę, — powiedział z przekonaniem pan Zenon Chrupczalka, opróżniwszy swój kieliszek alaszu.

— Dlaczegoż to? — zdziwiła się pani domu.

— Zabobony — bzdura! Pozostałości dawnej ciemnoty. Średniowiecze, panj dobrodziejko! Powiadają na przykład, że jak stara baba drogę przejdzie, to pech mурowany. No, to ja wobec tego powinienem być najniezwyklejszym człowiekiem na świecie! A przecież, chwala Bogu, wiedzcie mi się nieźle.



— A czemuż to powinien pan być najniezwyklejszym człowiekiem na świecie? — wtrącił pan domu.

— Jasna rzecz! Stara baba przechodzi mi drogę co najmniej dwadzieścia razy dziennie!

— A cóż za dziwny zbieg okoliczności! — podziwiała pani.

— Żaden zbieg, proszę łaski pani. Po prostu — mieszka u nas mamusia żony. I kręci się staruszka po mieszkaniu jak dym na wietrze. Strasznie się kręci. Pod nogi wchodzi, można powiedzieć.

Pani domu zaśmiała się niepewnie.

— Albo — ciągną dalej pan Chrupczalka — powiadają, że jak zobaczysz kominiarza, to szczęście mурowane, trzeba tylko schwycić się

Napisał **BOGDAN BRZEZIŃSKI**

Ilustrował **KAZIMIERZ GRUS**

ZABOBONY

się za guzik. I niedalej, niż wczoraj, spotkałem kominiarza na ulicy. Łapię się za guzik — i cóż z tego wyszło? Szarpnąłem za mocno i guzik został w ręku. Ot, tu był — jeszcze żona nie zdążyła przyszyć!

Pani domu pokiwała głową.

— Pan jest sceptyk. Ale ja wierzę w zabobony...

— To nieładnie, panj dobrodziejko! Taka kulturalna osoba!

— Nalać panu jeszcze kieliszczek?

— Proszę bardzo.

— O, ale alasz już nie ma. Można wiśnióweczki?

— Bardzo proszę. Ja tam nie wierzę w przesąd, że jak się mieszka alkohole, to potem głowa boli. To zabobon.

Pani domu nalała gościowi wiśniówki. Pan Zenon sięgnął po kieliszek. Ale czy ujął go niezgrabnie, czy kieliszek był wilgotny i przez to śliski — dość, że wysunął się z palców pana Chrupczalki i po chwili na śnieżno-białym obrusie ukazała się wielka, rubinowa plama, powiększająca się z każdą chwilą...

— O Boże! Mój wyprawowy obrus! — jęknęła pani z rozpaczą.

— Też pan nie uważał... — do rzucił pan domu z niesmakiem.

— Och, strasznie mi przykro! Ale zaraz na to poradzimy! Gdzie jest solniczka? Jest! Posypimy grubo solą i zaraz plama zblednie!

Pani domu aż zatrzęsła się z przerażenia.

— Co pan robi?! Sól rozsypać — awantura mурowana!

— Ach, zabobon, szanowna pani! O, proszę, jak sól pije wiśniaczek!

A to ci pijaczka!... — próbował żartować pan Zenon. — A teraz, pozwól państwu, że sobie naleję... O, jest jeszcze żubrówka! Wypiję żubróweczki...

To rzekłszy — pan Chrupczalka sięgnął po karafkę z żubrówką. Ale sięgając — zawadził łokciem o karafkę z fatalną wiśniówką. Karafka się przechyliła i struga purpurowego płynu wymalowała drugą plamę, trzy razy większą, niż pierwszą.

— Rany Boskie, co pan wyprawia?! — ryknął pan domu, z wyraźną do roboty.

— Ja nie... hecący...

— Tak, niechący! A żona ma już łzy w oczach! Niechący, widzę, zdemoluje mi pan mieszkanie!...

— Cóż to za ton?! — powiedział surowo pan Zenon i postawił karafkę tak gwałtownie na stole, iż pękła z suchym trzaskiem. Co jeszcze w niej było — wypłynęło teraz wesoło na niezłoty obrus.

— Nie, to skandal!... Pan to namyślił! Obrus — strata. Ale pal sześć obrus! Ta karafka była u mnie w rodzinie osiemdziesiąt lat!! Bakaratowskie szkło! Łapy, jak z drewna, psiakrew!!



— Co pan powiedział?? Pluję na pańską karafkę! Osiemdziesiąt lat w rodzinie! Bujać, to my, ale nie nas! Dolnośląski szaber za 300 złotych, a nie bakaratowskie szkło! Ot, co! Do widzenia pani! Więcej tu moja noga nie tego!...

— A kż, złam rękę i nogę!... — zaproponował pan domu.

— Chamy z samego środka wsi! — irytował się pan Chrupczalka, wkładając śpiesznie płaszcz.

Po chwili zorientował się, że zostawił srebrną papierošnicę na stole.

— Przecież im nie zostawię! — pomyślał i wrócił niechętnie do pokoju.

— Czego tu jeszcze? — warknął pan domu, oglądając z żałościami



szczęśliwej pamiątkowej karafki.

— Papierošnicę zostawiłem.

— To bierz i jazda! — ryknął pan domu i zamierzył się szybką karafki.

Pan Chrupczalka był już w drzwiach, gdy usłyszał szept pani domu:

— Panie, panie Zenonie!

Zatrzymał się.

— Słucham — powiedział zimno.

— Panie Zenonie, gdyby pan tej pierwszej plamy nie posypał solą, wszystko byłoby w porządku. Bo sól rozsypała — awantura!

Pan Chrupczalka zaklął szpetnie i zbiegł ze schodów, przeskakując po cztery stopnie.

W bramie zderzył się z kominiarzem.

— Będzie pan miał dzisiaj szczęście! — powiedział jowialnie kominiarz.

— Być może — odparł pan Zenon z bladym uśmiechem.

Dopiero na ulicy zauważył, że na jasnym, nowym płaszczu ma wielką, czarną plamę — pamiątkę po zderzeniu z żywym amuletem

KURT SCHUMACHER „ZAGROZIŁ”, ŻE NIE PODPISZE TRAKTATU POKOJOWEGO



Rys. Heni... Tomaszewska

Nie podpisuj się!

I. MANGER

DWIE SIOSTRZYCZKI

W łóżeczku swym siostrzyczki dwie
stulły główki, niby w śnie
i płotą, co popadnie:
— Błękitne jest sklepienie nieb,
zielona trawka, złoty chleb...
A miłość — któż odgadnie? —

Odszepnie jej siostrzyczka — brzdac:
Widziałam ją onegdaj śpiącą,
lecz barwy jej nie pomnę.

W łóżeczku swym siostrzyczki dwie
stulły główki, niby w śnie
i gadu-gadu dalej:
— Łza bywa smaku morskich wód,
wisienka kwaśna, słodki miód...
A miłość — któż ustali? —

Odszepnie jej siostrzyczka — brzdac:
— Dcznałam jej onegdaj, śpiącą,
lecz smaku jej nie pomnę.

I żal mam do siostrzyczek dwu,
że zapamiętać swego snu
nie były jednak w stanie:
bo gdybym znał miłości treść,
prześliczny wiersz na waszą cześć
napisałbym, o panie!...

Tłumaczył **HORACY SAFRIN**



Rys. Kazimierz Grus

Pan Pałaczek wprowadził się na nowe mieszkanie. Nie bardzo mu się podobało. Niespokojna mapa na suficie, dawała znać, że tędy zacieka woda. Meble, poniemieckie, o tyle że musiał za nie zapłacić. Z ciemnej klatki schodowej zalatywały rozmaite zapachy, a żaden z nich nie był zapachem kwiatów.

Najbardziej jednak nie podobał mu się sąsiad z przeciwka, którego już dwa razy spotkał na schodach. Bardzo podejrzany typ. Pan Pałaczek był człowiekiem podejrzliwym. Toteż prędko doszedł do przekonania, że to sąsiedztwo jest bardzo niebezpieczne.

Zaraz pierwszego dnia sprawdził zamek u drzwi. Nie podobał mu się ten zamek. To nie było zamknięcie odpowiednie przed sąsiadem o widocznych złych instynktach.

— Nie ulega wątpliwości, że do puści się u mnie włamanie, gdy tylko wyjdę z domu. Albo gotów dokonać napadu w nocy. Dla takiego to nic. Może jednak lepiej się w takim wypadku nie bronić?

Naraz usłyszał, że czarny typ z przeciwka wychodzi z domu. Pan Pałaczek popatrzył na zegarek. Ośma godzina.

— O tak późnej godzinie wychodzi dopiero do miasta. Ładny ptaszek.

Uchylił ostrożnie drzwi. Nie słychać żadnego ruchu.

— Acha, sam mieszka w tej sępluncie. Zrobił sobie tutaj kryjówkę. Bardzo odpowiednie miejsce.

Na drzwiach nie było biletu wizytowego.

— Taki to nigdy nie ma biletu wizytowego. Poza tym tacy mają po kilka nazwisk. Przyjemne sąsiedztwo, dziękuję.

Poszedł do dozorczy.

— Kto to jest ten... osobnik, który mieszka naprzeciwko mnie?

— Tyle go znam — co pana.

— O ile możliwości bez porównań.

— No a co? Wprowadził się niedawno, zameldował. Cóż ja mogę poza tym o nim wiedzieć?

— Aha. A jakże się wobec tego nazywa?

— Nazywa się... Antoni Scyzoryk.

Pałaczek zadrżał. Wydało mu się, że uczył na szyi dotknięcie zimnej stali. Pomyślał: To mi się jeszcze w życiu nie zdarzyło, mieszkać naprzeciw Scyzoryka.

— A jakież on podał zajęcie? — zapytał z urągliwym sarkazmem.

— Agent handlowy.

— Agent handlowy. No proszę. Domyslałem się tego.

— Tak pan łatwo poznał? a niby po czym?

LUDWIK SWIEŻAWSKI

NIEBEZPIECZNY SĄSIAD

— No mniejsza z tym. I mówią pan, że on się niedawno wprowadził? Ciekawe.

— A niedawno. Bo w tamtych dwóch mieszkaniach to nikt nie chciał mieszkać, jako, że leje się przez sufit. Zobaczysz pan. Jak tylko będzie deszcz padał, musisz pan siedzieć w pokoju pod parasolem.

— Ja nie mam parasola — odpowiedział pan Pałaczek ze złością i odszedł. Nie podobał mu się ten dozorca. Pewnie z nim w zмовіе. Uczuł się w mieszkaniu bardzo nieswojo. Inna rzecz, że w tym mieszkaniu trudno się było czuć swojsko.

Pałaczek zastawił drzwi starą komodą, która z trudem przystaszczył z kąta. Okazało się, że w kącie komoda jakoś stała, a przy drzwiach ani rusz.

Na drugi dzień pan Pałaczek spotkał na schodach podejrzanego sąsiada. Obrzucił go przenikliwym spojrzeniem. Tamten zaczął gwizdać.

— Aha, maskuje swobodne zachowanie się.

Gdy nadeszła noc, niepokój pana Pałaczka zwiększył się. Patrzył na zbawczą komodę z niechęcią. Kosztowała go rano wiele trudu, bo nie dała się odciągnąć od drzwi.

Na schodach dały się słyszeć kroki.

— Idziel!

— Nieprzyjemną będę miał noc dzisiaj. Wolę już, jeżeli grasuje poza domem.

Tymczasem z mieszkania naprzeciw doszedł odgłos rozmowy. Pałaczek zaniepokoił się poważnie.

RZĄD USA CHCE KUPIĆ GRENLANDIĘ



Rys. Regina Kańska

— Ziemię kupuję, ziemię...

— Więc on nie sam dzisiaj tam przebywa. Jakaś narada bandycka...

Przytknął ucho do drzwi, ale nie mógł odróżnić słów. Głosy były podniesione.

Naraz rozległy się stamtąd okrzyki, zduszone, niewyraźne, aż nagle jakiś kobiecy głos zaczął krzyczeć przeraźliwie:

— Ratunku! Zabijają... Na pomoc...

Nogi się ugięły pod panem Pałaczkiem. Strach chwycił go za włosy. Jednym sussem wyskoczył z pokoju i zleciał po schodach, przeskakując po dziesięć stopni. Nieprzytomny z przerażenia wpadł do pobliskiego posterunku milicji.

— Prędko... na pomoc... mordują człowieka... wiedziałem, że tak się skończy...

Milicjanci nie tracąc czasu pobiegli za Pałaczkiem, który bełkotał po drodze:

— W mojej obecności... w sąsiednim mieszkaniu... taka straszna zbrodnia... Ładne mieszkanie sobie w wyszukiłem...

Milicjanci dobijali się głośno do drzwi:

— Otworzyć!

— Przecież on nie otworzy — jęknął Pałaczek.

Okazało się, że natychmiast otworzył. W drzwiach ukazał się przerażony Antoni Scyzoryk. Przy byli wtargnęli do środka.

— Gdzie jest ofiara?...

— Pewnie w szafie... — odpowiedział, mdlejąc, Pałaczek.

Alé nie było żadnej ofiary, nato miast z ładnego nowego głośnika radiowego płynął miły koncert starych płyt gramofonowych.

— Przed chwilą ktoś wzywał stąd pomocy. Chciano tu dokonać, czy też dokonano zabójstwa — oświadczyła władza zmiesznanemu właścicielowi mieszkania.

Pan Scyzoryk ochłonął. Rozesłmiał się nawet.

— Rzeczywiście. Wzywano pomocy. Nadawali jakieś słuchowisko przez radio i w tym słuchowisku jedna kobieta krzychała: Ratunku! Zabijają... Na pomoc. Nawet trochę wydawało mi się to za głośne i zamknąłem aparat.

Bardzo zrobiło się wesoło. Milicjanci zgniewali się jednak na pana Pałaczka:

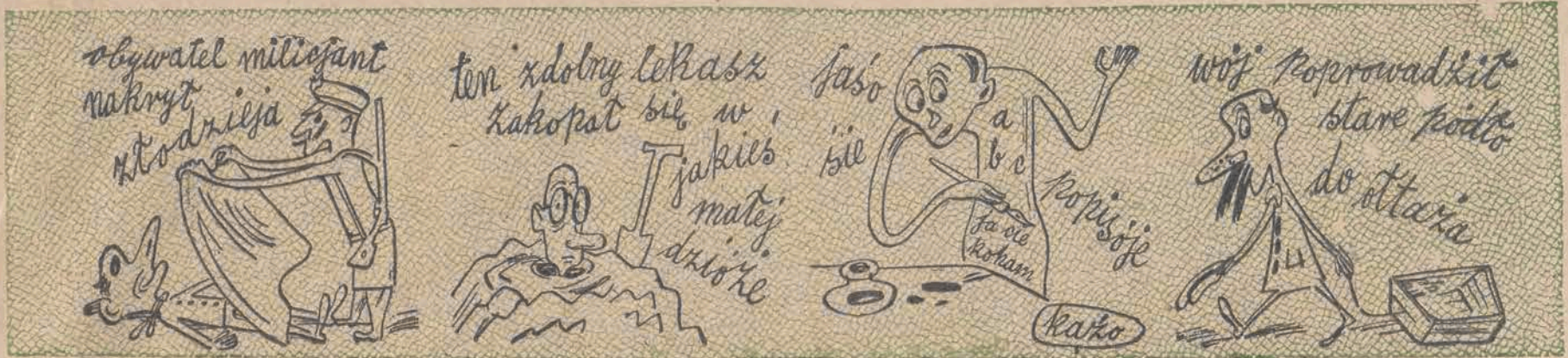
— Stuknij się pan w głowę.

Pan Scyzoryk beceremonialnie poklepał sąsiada po ramieniu.

— Czy bardzo się pan nastraszył?

Pałaczek przelękając wstyd, ci-chutko pomknął do siebie. Spójrzawszy na komodę mruknął:

— Niepotrzebnie ją ruszyłem z miejsca. Nie chce teraz stać.



Rys. Kazimierz Grus

Zdolny komiwojażer, Teofil Knotek, wsiadał do wagonu kolejki elektrycznej w doskonałym humorze. Udało mu się bowiem załatwić pomyślnie wszystkie sprawy handlowe w terminie o dwa dni krótszym, niż przypuszczał. Po uciążliwej podróży był wprawdzie trochę zmęczony, ale wizja wygodnego odpoczynku w jego małej willi podmiejskiej dodawała mu siły i wprowadzała w dobry humor.

Wagon kolejki był gruntownie przepelniony. Z trudem znalazł stojące miejsce przy oknie. Obok niego ulokował się elegancki młody człowiek w futrze z wydrowym kołnierzem.

— Ale tłok! — powiedział gadałliwy pan Knotek.

— Rzeczywiście! — dorzucił uprzejmie młodzieniec.

— Będzie ciepło! — dorzucił dobrodusznie komiwojażer.

— Istotnie. Bo dzisiaj dosyć zimno — odparł młody człowiek.

Po kilku minutach rozmawiali już z ożywieniem. Młodzieniec porzucił pana Knotka papierosem. Papieros był angielski i pan Knotek zapalił go z prawdziwą przyjemnością. Nasz bohater był bowiem oszczędny, a nawet trochę skąpy i stale palił tylko niezbyt luksusowe „Wolności”.

W pewnej chwili młody człowiek zrobił krok naprzód.

— Pan już wysiada? — zaniepokoił się pan Knotek.

Polubił sympatycznego młodego człowieka i podróż jego w towarzystwie wydawała się po prostu o wiele krótsza, niż zwykle.

— Nie, nie wysiadam. Przepuściłem tylko tę korpulentną damę w granatowym płaszczu.

— To świetnie! A dokąd pan jedzie, jeśli można zapytać?

— Do Leśnego Ustronia — wyjaśnił młody człowiek.

— Doprawdy? Bo ja też jadę do Leśnego Ustronia!

— Co pan mówi? To jedziemy razem! — stwierdził młodzieniec.

Potem rozmawiali z ożywieniem o sensacyjnej powieści, która ukazała się niedawno. Nagle konduktor zawołał:

— Leśne Ustronie!

— Tu wysiadamy — powiedział pan Knotek.

— Tak. Tu wysiadamy — potwierzył młody człowiek.

Wysiedli. Pan Knotek spytał uprzejmie:

— Pan szanowny na prawo?

— Nie. Na lewo.

— Ja też na lewo! — ucieszył pan się Teofil — Wszyscy teraz idziemy trochę na lewo! — dodał dowcipnie.

Młody człowiek uśmiechnął się porozumiewawczo.

Poszli.

— Przyjemnie chrupie śnieżek

KAROL KOWALSKI

Towarzysz podróży

pod nogami — powiedział młody człowiek.

— Bardzo! Ładna zima w tym roku — zauważył pan Knotek.

— Wyjątkowo ładna — przyznał niebanalnie młody człowiek.

Szli, szli, szli... Doszli do rozstajnych dróg.

— Ja idę prosto — powiedział pan

Knotek i nie wiadomo dlaczego wyciągnął rękę do pożegnania.

Zapewne był przekonany, że młody człowiek skęci w prawo.

— Ja też idę prosto — rzekł młody człowiek.

Pan Knotek podniósł wysoko brwi.

— Do kogo on idzie?... — pomy-

LUDWIK JERZY KERN

DO POLSKIEGO DZIEWCZĘCIA

Prosiłaś mnie o wiersz dziewczyno,
myśląc, że machnę ci poemat
liryczny. Na liryczny temat.
Jak Julek pannie Zośce Bober.
A tu tymczasem wystaw sobie,
zmienił się romantyczny schemat.
Poezja dzisiaj? Cyrk i kino!

Dziewczę naiwne. Dziewczę polskie.
Trafiłaś klepsko. Pod zły adres.
Harły niemożne są eolskie
(a kiedyś, były Sante Padre...)
Dziś realności i cynicy
i sprawiedliwych pułk z „Kuźnicy”.

Może bym nawet, czyniąc zadość
twojej prośbie, trzepnął poemacik.
Cóż, kiedy mi się nie opłaci.
Roboty dużo. Krótką radość.
Zosiek i Maryl kraj już ma dość.
A zresztą po co rymy pleścić,
jeśli nikt tego nie umieści?

Dawniej nad wierszem ludzie plali
A dzisiaj? Dzisiaj materializm.
Dzisiaj za liryczność czy co da kto?
Nic podobnego. Z tej przyczyny,
by wiersz ten puścił mi redaktor,
troszeczkę cię obrażowimy
i nakreślimy jak najprościej,
portrecik twój z rzeczywistości.

Włec przede wszystkim: że masz plegi.
(to nic strasznego, tym się nie martw)
że jesteś blada tak jak śnieg i
że żre cie szkorbut i anemia,
że piękną, białą pleć masz z tego
(tym też się nie martw, nic strasznego,
bo ile by Maryle dały,
by taką bladość ciała miały?)

Mógłbym do tego jeszcze dodać,
że rzesy z lekka ci wychodzą,
i że w twych żyłach krew jak woda,
i że ci Chesterfield'y szkodzą,
i że wyglądasz nie różowo
i mógłbym jeszcze to i owo...

A jeśli to cie nie zachwyca,
leśliś liryczny wiersz mieć chciała,
to iść bym radził, moja mała,
z prośbą do pana Mickiewicza...

ślał — Do Ziętarskich, czy do Nowaków? Może to brat Nowakowej? Podobno niedawno wrócił z Niemiec...

— Pan do państwa Nowaków? — spytał pan Teofil uprzejmie.

— Do Nowaków? Znam jednego Nowaka. Ma sklep w Bydgoszczy. Ale tu nie znam żadnego Nowaka!

— Nie?... Hm!...

Przed nimi wylonil się z zaogolonych z liści drzew domek pana Knotka, zwany szumnie „willą”.

— Więc do Ziętarskich? — spytał pan Knotek.

— Nie znam żadnych Ziętarskich! — odparł ze zniecierpliwieniem młody człowiek — Przyjechałem tu do niejakiej Knotkowej. Jej mąż wyjechał, i — uważa pan — zaprosiła mnie... Pan rozumie?...

Kobietka — krew z mlekiem! Szykl Fajna, krótko mówiąc! Ale teraz —

pojmuję pan — jestem w kropce...

Gdzie ona mieszka? Powiedziała mi: idź prosto, aż dojdiesz do ślicznej willi... Idę, idę — i żadnej willi nie widzę, tylko jakiś obskur-

ny domek! Poblądziłem, czy co? Szlak by to trafił! Może pan wie, gdzie mieszkają ci Kotkowie?

— Wiem! — odparł głucho pan Teofil.

— To świetnie! Gdzież oni mieszkają?

— W tej willi... O, tu — prosto...

— W tym domku? To ma być willa? A to zalewała mi kobieta! Pęknać można! W każdym razie —

dziękuję panu. Idę tam!

— Pęknać można — przyznał ponuro pan Teofil — ale pan tam nie pójdzie...

— Dlaczego? — zdziwił się młodzieniec.

— Bo ja jestem Knotek. Jej mąż.

Młody człowiek poczerwieniał, potem poblądł. Przełknął ślinę i rzekł zmienionym głosem, patrząc na łaskę, drżącą w ręku pana Teofila:

— Ale pan oczywiście nie wierzy w to, co ja mówiłem? Ja tak — dla kawału! Przecież ja idę do tych... do Nowaków... Krewny jestem. Słowo honoru, że jestem! Autentyczny krewny! I właśnie do tych, faktycznie — do Ziętarskich. W odwiedzin. A tamto — żart!

Pan Teofil spojrział ponuro na młodego człowieka i odparł dziwnie niskim głosem:

— Całe szczęście, że ja mam poczucie humoru!...

Jednocześnie uchylił kapeluszy i młodzieniec szybko odszedł. Ale nie w kierunku willi państwa Ziętarskich lecz w kierunku przystanku kolejki.

Raz się tylko obejrzał, bo pomyślał nagle z przestraszeniem, że może fatalny towarzysz podróży ma pozwolenie na broń...

A. CZECHOW

KAMELEON

Tłumaczył HENRYK SAWA

Ilustrował ZENON WASILEWSKI

Srodkiem rynku króczy rewirów Oczumielów w nowym szynelu, z zawiniątkiem wręku. Za nim maszeruje służbiście rudy policjant z rzeszotem, napelnionym po brzegi skonfiskowanym właśnie agrestem. Wokół cisza... Plac, jakby wymarł. Otwarte drzwi kramików i szynków spoglądają na boży świat smętnie, niczym wyglodzone paszczęki i nawet żebrak do nich nie zaglądnie.

— Kasać ci się zachciało, przekłety! — rozlega się z nienacka krzyk. — Nie puszczajcie go, ludzie! W czasach obecnych nie wolno kasać! Trzymajcie! A... al



Słychać psi skowyt. Oczumielów ogląda się i widzi: ze składu drzewa kupca Pierugina, kusztującą na trzech łapkach i oglądając się trwożliwie, biegnie mała psina. A za nią gna człowiek w perkalowej, wykrochmalonej koszuli i rozpiętej kamizelce. Ściga ją i, poddając się tułowiem wprzód, pada na ziemię, chwytając piaska za tylne kończyny. Znowu słychać psi skowyt i krzyk: „Nie puszczajcie!” Ze sklepików wyzierają senne fizjonomie, i szybko wokół składu drzewa, jakoby wyrastając spod ziemi, robi się zbiegowisko.

— Nie inaczej, coś się zdarzyło, wasza miłość — raportuje policjant.

Oczumielów wykonuje pół obrotu, na lewo i udaje się w kierunku narastającego tłumu. I widzi: obok wrót składu stoi wyżej opisany osbnik w rozpiętej kamizelce i, podniósłszy w górę rękę, pokazuje tłumowi skrwawiony palec. Na podchmielonej jego twarzy wyczytać można groźbę: „Skórę ściągnę z ciebie, szelmo!” — a i palec sam wygląda, jak symbol zwycięstwa. Oczumielów rozpoznaje w nim złotnika Chriukina. Pośrodku tłumu rozczapierzywszy przednie nóżki, drząc na całym ciecie, przysiadł na ziemi sam winowajca awantury — bielutki charcik ze śpiczastą mordeczką i żółtą łatką na grzbiecie. W łzawiących jego śliskach malują się lęk i żal.

— Co tu zaszło? — pyta Oczu-

mielów, wrzynając się w tłum. Z jakiej okazji? Dlaczego palec wystawiasz? Kto krzyczał?

— Idę ja, wasza miłość, nikogo nie zaczepiam... — zaczyna, krztusząc się, Chriukin — dogadać się się z kupcem co do drzewa, — i zagnęła ta podła kreatura, bez

powodu, za palec... Wybaczcie, ja człek pracujący... Rzemiosło moje delikatne. Niechże zapłaci mi jak się godzi — ja tym palcem tydzień może i nie kiwnę... Tego nawet, wasza miłość, nie przewidziano w prawie, by cierpieć od czteronożnego stworzenia... Jeśli by tak la-da kto kasał, to lepiej i nie żyć na tym świecie...

— Hm!... Dobrze... — cedzi Oczumielów, poruszając srogo brwiami. — Dobrze... Czyj to pies? Ja tego nie puszczę plazem. Ja wam pokażę, jak wolno puszczać kundla! Najwyższy czas, by zająć się panami, którzy nie raczą podporządkowywać się obowiązującym przepisom! Gdy mu wlepią grzywnę, przekona się lotr, co takiego pies i inne czworonożne włóczęgi! Pokażę mu, psia jego mać!... Jeldyrin — zwraca się rewirów do policjanta — dowiedz się, kto jest właścicielem psa i sporządź protokół! A psa zgładzić trzeba. Niezwłocznie! Z całą pewnością, wściekły... Pytam: czyj pies?

— Zdaje się, generała Zygłowa — odzywa się ktoś z tłumu.

— Generała Zygłowa? Hm... Ściągnij no, Jeldyrin, palto ze mnie.. Niemożliwy upał! Prawdopodobnie przed deszczem... Hm... Jednego tylko nie pójmuje: jakim cudem ten piesek mógł ciebie ugryźć? — zwraca się znów rewirów do Chriukina. — Jak dosięgnął palca twego? Przecież piesek malutki, a ty chłopisko jak dąb!

Nie inaczej: zadrasnąłeś palec gwoździem, a później strzeliła ci myśl do głowy, samemu rozerwać ranke. Ty przecież... znany gagatek! Znam ja was, mądrale!

— On, wasza miłość, tak na żarty przytknął mu papierosa do mordki, a ten nieglupi i cap! Obłudny człowiek, wasza miłość!

— Łesz, kulasie! Nie widziałeś, więc poco kłamać? Jego miłość rozumny pan i odróżnia kłamcę od człowieka, co zgodnie z sumieniem, jak przed Bogiem... A jeśli ja kłamię niech sędzia rozstrzygnie. U niego w kodeksie wszystko napisano... Wszyscy są równi przed prawem. Ja sam mam brata żandarma, jeśli już chcecie wiedzieć...

— Stul pysk!

— Nie, to nie generalski pies... — cjan. U generała nie ma takich. zauważa głęboko zadumany poli-U niego duże legawce...

— Czy wiesz napewno?

— Tak jest, wasza miłość.

— I ja wiem z całą pewnością. U generała drogie psy, rasowe, a ten — sam diabeł wie, co za szczeniak. Ni sierści, ni wyglądu... Kun-



dys zakazany. I pomyślcie sami: utrzymywać takiego psa? Gdzie wasz rozum? Gdyby taki pies zabłądził do Petersburga lub Moskwy, czy wiecie, jaki spotkałby go los? Nie zaglądnił by nawet do przepisów i momentalnie — po główce! Ty Chriukin, zostałeś tu niewątpliwie poszkodowany i nie daruj niczego... Trzeba dać naukę takim ludziom! Najwyższy czas...

— A może to i generalski — myśli głośno policjant. Na mordzie nie napisano... Zdaje się, że onegdaj u niego na podwórzu zauważyłem coś podobnego.

— Wiadomo, generalski! — odzywa się głos z tłumu.

— Hym... Pomóż mi, bracie! Jeldyrin, powrotem wdziać palto. Coś to powiało... Drzę cały... Ty sam odprowadzisz psa generałowi i spytasz tam — powiesz, że znalazłem i przysłałem... I powiedz, aby go więcej nie wypuszczali na ulicę. On pewno drogo kosztował, a jeśli byle jaka świnią będzie mu papierosa pchać w mordkę, może uciepieć. Pies to delikatne stworzenie... A ty, balwanie, opuść rękę! Czego wystawiasz swój idiotyczny palec? Sam zwinieś!...

— Kucharz generała nadchodzi, spytamy go... Ej, Prochor! Pozwól, kochany, na parę słów! Spójrz na pieska... Wasz?

— Ot, i wymyślił! U nas takich nie bywało!

— I pytać się niegodzi — wyrokuje Oczumielów — Kundys bepański! Szkoda słów... Jeśli powiedziałem, że bepański, to bepański... Zglądzić — i basta...

— To nie nasz pies — ciągnie dalej Prochor — to brata generała, co to przyjechał onegdaj. Nasz nie skory do myślistwa, do chartów. A brat myśliwy...

— Co powiadasz? Brat przyjechał do ekscelencji? Włodzimierz Iwanowicz — pyta Oczumielów, a cała twarz jego promienieje przywołującym się uśmiechem — Boże mój, a ja nic nie wiem! W gości przyjechał?

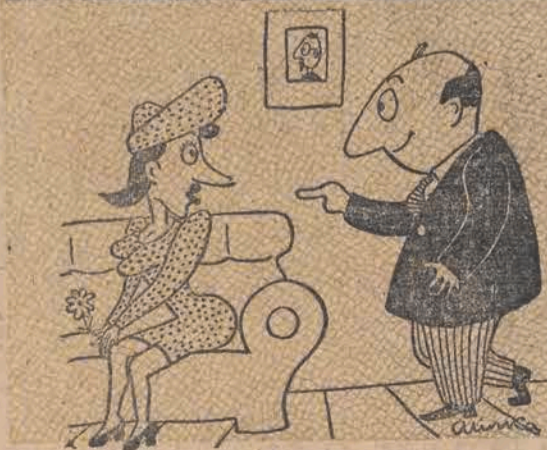
— W gości...

— Zobacz... Zateśknął się za braciszkiem... A ja nic nie wiedziałem! Więc to jego piesek? — Bardzo mi przyjemnie. Zabierz go... Prześlij na psinka... A jaka zwinna! Cap go za palec! Cha, cha, cha... No, i czego trzęsiesz się? Rrr... rr... Och, i złośnik! Małństwo takie...

Kucharz woła pieska i zabiera go ze sobą. Tłum wokół składu drzewa szczydzi z Chriukina.

— Ja jeszcze zabiorę się do ciebie! — grozi mu Oczumielów i, zapinając szynel, oddala się w kierunku rynku.

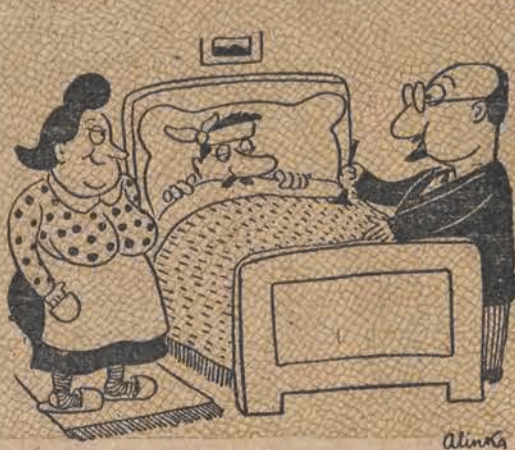
Tł. Henryk Sawa.



Rys. Alinko

— Dlaczego wtedy, gdy się pani wstydzi, dostają zielone rumieńce?

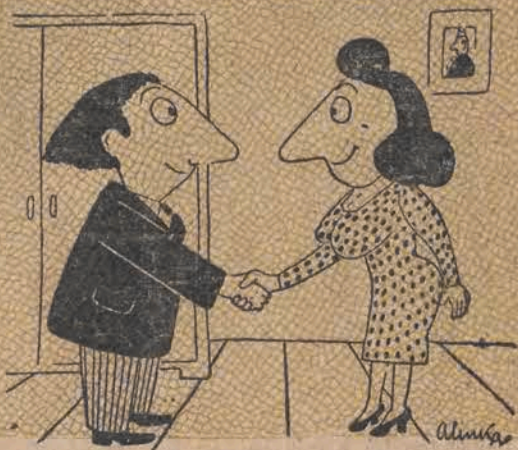
— Bo zieleń harmonizuje z moim kapaluszem!



Alinko

— Mąż mój, panie doktorze, całą noc miał bóle...

— W którym miejscu? — No tam, gdzie go bilami!

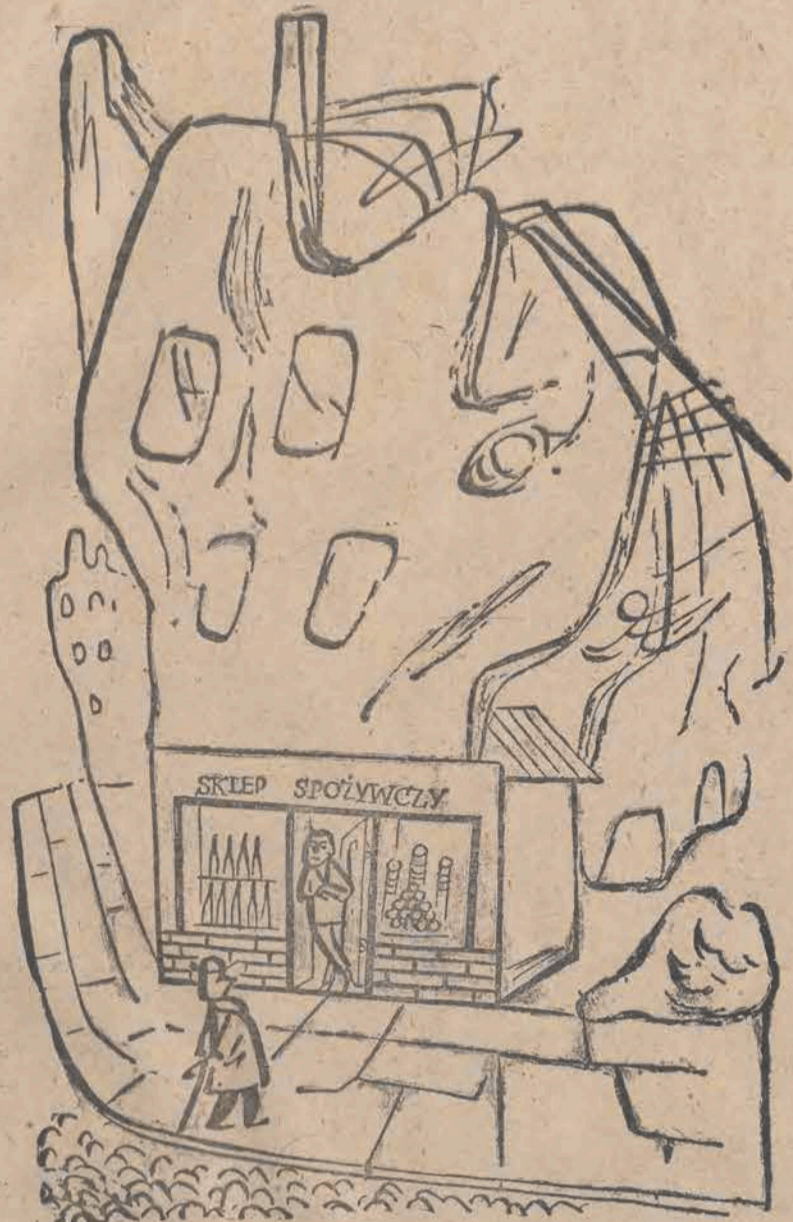


Rys. Alinko

— Jak pan sędzi: ile mam lat?

— Trudno odgadnąć prozę pani, w każdym razie, jak na swój wiek wygląda pani jeszcze bardzo młodo!

W WARSZAWIE



Rys. Regina Kańska

— ten mur wkrótce się zawali, zginie pan pod gruzami!
— Tak, ale ile przedtem zarobię?

IAN CZARNY

FRASZKI

SZARMANCKI KAKTUS

Uklęła się o kaktus. W paluszek. Och, boli!
... I od tej pory kaktus codziennie się goli...

ANALOGIA

Mędrca Diogenesa przypominasz wlece:
Ów w beczce żył, ty zaś — żyjesz przy butelce...

MARZENIE POETY

Świetny, wodoszczelny zegarek go urzekł.
Teraz chodzi, marzy — o takimże piórze...

NA JEDNEGO

O nim tylko biolog powie:
— człowiek. —

DZIEJE PEWNEGO AUTORA

Bili się z myślami, aż raz w ulicy
ciemnej pobili go czytelnicy

LUSIA

Choć w literackiej kawiarce
moc kawy pije panna Lusja,
trudno napisać jej dwa słowa
i tylko ciągle chodzi s....

Panie Redaktorze!

Ja, że się tak wyrażę, w sprawie latek i latków. A dlaczego, to się zaraz Pan Redaktor dowie.

Otóż, jak Panu Redaktorowi za pewne wiadomo, wyraz latka (przez małe l) oznacza kawałek materiału, którym w pewnych specyficznych okolicznościach zatyka się dziurę powstałą w innym przeważnie większym kawałku materiału. I to jest dobrze. I tak powinno być. Ale gorzej jest jak Latka (przez duże L) zaczyna szukać dziury w całym. Jeśli coś jest całe, to przecież tam żadnej latki nie potrzeba. Bo inaczej łatwo moglibyśmy dojść do absurdu i w czymś, co jest całe, specjalnie robić dziury, żeby te dziury następnie Latki mogły latać.

Z Latkami znamy się, Panie Redaktorze, nie od dzisiaj. Pierwszym Latką, którego poznaliśmy w swoim dziecięcym, czternastoletnim żywocie był Latka pana obywatela hrabiego Fredry w komedii pod tytułem „Dożywocie”. Jak dziś pamiętam jeszcze ten balon, który tak ładnie wymalował na afiszu pan Tomaszewski. Piękny balon! Otóż ten Latka przyjemny nie był i nawet go nie bardzo lubiłem, bo był zły. Ale jak się potem dowiedziałem, że to naprawdę był pan Woszczerowicz, który tylko udawał tego Latkę, to ponieważ pana Woszczerowicza bardzo lubię — polubiłem przez niego tego pierwszego Latkę.

Drugi Latka, Panie Redaktorze, był także z literatury. Poznałem się z nim czytając nowelkę pana Klemensa Junoszy (to taki pisarz, o którym nikt nic nie wie. Ghyba, żeby coś wiedział pan Wyszomirski). Ten drugi Latka to był sobie tylko zwyczajny krawiec. Był bardzo pracowity. Poza tem był wyzyskiwany. Strasznie mi go było żal. To był, proszę Pana Redaktora, taki Latka, który dobrze się wywiązywał ze swego zadania i zawsze latał, tam gdzie trzeba i chociaż był małym i skromnym człowiekiem, był bardzo pożyteczny.

Dopiero ten trzeci Latka jest dla mnie straszny. Niby też chciałby mieć coś wspólnego z literaturą,

ale nie może. Ciocia, to nawet mówiła jak się nazywa taki co chce, a nie może, ale ja nie pamiętam. Więc ten trzeci Latka jest właśnie taki jak ja nie pamiętam polskiej literatury. I on, proszę Pana Redaktora, więcej nie robi, tylko szuka dziury w całym. I przyklepia się i przypina. I to zawsze tak ni przypiął ni przyłatał.

Ja już to obserwuję od dłuższego czasu. I widzę, że starsi jakoś nie. Więc myślę sobie: nie chcą z latkiem gadać. A on się rozbrzykał. Dlatego wreszcie postanowiłem, że ja jako przedstawiciel młodzieży, czyli przyszłości narodu, zabiorę w tej sprawie głos. Chodzi o to, że panu Latce nie podoba się nasza satyra. I przy każdej okazji przypina satyrze latki. I zawsze w złym miejscu. A dlaczego pan Latka nie narzeka, Panie Redaktorze na kiepski stan sekcji felietonowej w odnośnym kulturalnym resorcie? Przecież poza panem Wyszomirskim nikt prawie nie pracuje na tej wdzięcznej niwie. A i pan Wyszomirski wydaje się być zmęczony. Dlatego pytam się, czy pan Latka nie mógłby pomóc panu Wyszomirskiemu w tej poważnej sprawie, zamiast się czeplać nie swoich rzeczy? Mogłoby mu służyć radą i wskazówkami. Zawsze co dwóch ludzi, to nie jeden.

Ale pan Latka, Panie Redaktorze, woli chodzić samopas i krytykować i narzekać zamiast wziąć się do jakiejś konstruktywnej pracy. I dlatego mnie się zdaje, że to jest na naszym życiu literackim latka w niedobrym kolorze. Bardzo nieprzyjemna Latka!

Z poważaniem Ignacy Wójcik

P. S. Szczerze muszę się Panu Redaktorowi przyznać, że listu tego nie pisałem zupełnie samodzielnie. Troszeczkę pomagałem sobie następującymi drobiazgami podręcznymi: encyklopediami: Gutenberga, Orgelbrandta, Mayera, Trzaski, Everta i Michalskiego, Larousse (małym i dużym), „Od A do Zet” — Arcta, „Komizmem” — Bystronia oraz kilkoma innymi...
I. W.

Z CZEGO SIĘ ŚMIALI NASI DZIADKOWIE
(Kurier Świąteczny 1871 r.)

— Panie maszynisto, taka maszyna to musi być siarczysto mocna?
— Ma siłę 50 koni!
— O la Boga, to gdzie wy mata stajnię na tyle koni?



Rys. Jan Lenica



Rys. Zbigniew Klun



Rys. Jan Lenica

— Wie pani, że teraz jest już lepiej, ale by-
toby lepiej, gdyby było jeszcze lepiej!

— Ach, proszę pana, i ja kiedyś byłem bo-
gaty...
— A dlaczego wtedy nie szukaliście zna-
jomości ze mną?

— Ależ, Hipolcie, bez spodni idziesz do
teatru?
— Ach, to nic, siadam zawsze w łoży, więc
nikt tego nie zauważy!



„The People”

— Zona przed chwilą wyszła.
Poszła do Związku byłych kom-
batantów, Ligi Kobiet, Towarzy-
stwa „Trzeźwość”, Patronatu nad
slerotami. Powiedziała, że wróci
za pół godziny...

— Czy wciąż jeszcze chropiesz tak
okropnie?

— Ach, jeszcze głośniej. Nieraz bu-
dzi mnie to moje chrapanie.

— Więc dlaczego nie śpisz w in-
nym pokoju?

— Dlaczego nie śmiać się pan? Ten
dowcip, który opowiedział mecenas był
nadzwyczajny!

— Ja tego typu nie znoszę. Śmiać
się będę w domu.



Rys. Michałski

— Co to za facet, który dał ci
5 zł?

— Nie wiem. Pierwszy raz go
widzę...

ANEGDOTY

M. Mendelsohn był na początku swo-
jej kariery życiowej urzędnikiem u ja-
kiegoś fabrykanta. Razu pewnego od-
wiedził go w biurze przyjaciel. Akurat
Mendelsohn śleczął nad jakimś ra-
chunkiem.

— Czy to sprawiedliwe — oburzył
się przyjaciel — abyś ty, człowiek tak
zdolny i utalentowany, zajmował się
rachunkami takiego zera, jak twój sze-
f? Czyż to nie ironia, żebyś ty był jego
podwładnym, a on twoim szefem?

Mendelsohn pokręcił głową z uśmie-
chem.

— Widzisz — rzekł to zupełnie pro-
ste. Skoro on jest szefem, a ja jego ur-
zędnikiem — byt mój jest zapewniony,
gdybym ja natomiast był szefem — on...
umarłby z głodu.

Po premierze „Damy Kameliowej”
Dumasa syna, która została entuzja-
stycznie przyjęta przez krytykę i pub-
liczność, autor napisał do Dumasa
ojca:

„Wielkie zwycięstwo! Kwiaty i bra-
wa! Zdawało mi się, że jestem na two-
jej sztuce”

Artur Szopenhauer nie od razu zda-
ł sławę i popularność. Początkujące-
go filozofa przedstawiano wówczas:

— Ten pan? To syn naszej znakomi-
tej romansopisarki Joanny Szoppen-
hauer.

Romanse matki przeszły prędko w
zapomnienie i zabłysła gwiazda Artura.
Rekomendacja uległa, naturalnie, zmia-
nie:

— Ta pani? Ach, to matka naszego
słynnego filozofa Artura Szoppenhauera.

James Ballautyne, przybywszy kie-
dyś z wizytą do Walter Scott'a, zastał
w gabinecie córkę jego, Zofię, liczącą
wtedy osiemnaście lat.

Ballautyne podszedł do etażerki i
zaczął przeglądać znajdujące się tam
książki.

— O, „Panna morza” ojca pani —
uśmiechnął się — Oczywiście, zna to
pani dobrze...

— Nic podobnego! — oburzyła się
panienka — Papa mówi, że nie ma nic
gorszego dla młodzieży, niż kiepska
poezja!

Dr Veron, redaktor „Revue de Pa-
ris”, jadł pewnego razu obiad w towa-
rzystwie swych współpracowników: Sa-
iute Benve'a, Merimée'go, George Saud,
Aleksandra Dumasa i td.

W trakcie tego lokaj zameldował ów-
czesną słynną aktorkę Rachel.

Veron, który żył z nią wtedy w nie-
zgodzie, skoczył z krzesła i krzyknął:
— Powiedz, że nie ma mnie w do-
mu, i że na przyszłość dom mój będzie
otwarty tylko dla porządných osób!

— Ach — zawołał na to Saute-Ben-
ve, podnosząc się również z miejsca —
powinien nas pan od razu uprzedzić, że
ubiad ten jest uczcą pożegnał!

Zona poety Uhlanda, zirytowana
kiedyś przez męża, zawołała ze złością:

— Żebyś wiedział, jak tylko umrzesz,
wyjdę natychmiast za innego!
Uhland wzruszył ramionami.

— Moja droga — rzekł — a cóż
mnie może obchodzić nieszczęście czło-
wieka, którego nie znam!

Znany poeta, Klopstock, dostał za
swoje dzieło pt. „Messjady” tylko dwa
talary, wydawca natomiast zrobił na
nim świetny interes. Gdy Klopstock
przyjechał do niego w sprawie umowy
o drugi nakład, lichwiarza ruszyło su-
mienie i postanowił ubogo ubranemu
poecie zaufundować nowy surdut.

— Pańskie dzieło — rzekł do Kłop-
stocka — jest apoteozą czci i honoru
honor każe mi okazać tedy wspaniało-
myślność w stosunku do pana...

— Bardzo mnie to cieszy — odparł
ironicznie poeta — że ideologia mojej
„Messjady” nie poszła na marne, przy-
kryje mi bowiem chociaż plecy...



„Sibenicky”

— Ach, stary, nigdy nie my-
ślałam, że potrafisz być taki
czuły...

— Widzisz tego jegomościa? On ży-
je z błędów, które robią inni ludzie!

— Jakim sposobem?

— Ma fabrykę gum do wycierania.

— Ile pan liczy za nocleg w pań-
skim pensjonacie?

— Hm, to zależy od położenia...

— Najchętniej leżę na wznak — Ile
pan za to liczy?

— Ubezpieczyłem się na wypadek
śmierci — mówi mąż.

— Naturalnie. Zawsze byłeś egoistą.
Siebie ubezpieczyłeś, a mnie nie. Zawsze
tylko myślisz o sobie.



„Srsen”

— Też az chyba, moja droga
wiesz, że ci w tej sukni nie do
twarzy...